

Fikcja literacka

Lucy Caldwell

przekład: Agnieszka Pokojńska

Ubiegałaś się o zwolnienie z opłat za udział w festiwalu, ale nie zostało ci przyznane. Mama przejęła się tą odmową w twoim imieniu – przejęła się bardziej niż ty – i zaproponowała, że pokryje koszty udziału, nalegała na to i po jakimś czasie łatwiej było z wdzięcznością przyjąć ofertę zamiast odmawiać.

Odkąd poszłaś na studia, mieszka sama. Dwa razy w tygodniu pracuje charytatywnie w sklepie z używanymi rzeczami, we wtorki wieczorem chodzi na francuski, w czwartki na pilates. Nie wiesz, jak wypełnia sobie weekendy.

Mama pyta o pisarza, który ma prowadzić warsztaty – czy dobrze pisze. Mówisz jej, że tak. Nie mówisz, że bardziej chcesz, żeby podobało ci się to, co pisze, niż naprawdę ci się podoba. W jego pierwszym zbiorze jest jedno dobre opowiadanie, z rodzaju tych, o których natychmiast można stwierdzić, że jest dobre, o chłopcu molestowanym przez starszego krewnego. Żadne z pozostałych jego opowiadań – dlaczego, zastanawiasz się, i na czym, na czym to polega? – nie wywołuje takiego wrażenia.

Warsztaty odbywają się codziennie przez pięć dni trwania festiwalu, od dziewiątej do południa, w szkole średniej na obrzeżach miasteczka. Sama dość niedawno opuściłaś szkolne mury, ale nawet uczestniczki w średnim wieku żartują, że gdy przechodzą koło pokoju nauczycielskiego pustym korytarzem, tak że kroki odbijają się echem, dostają gęsiej skórki.

Wasza grupa liczy osiem osób, czyli wykupiono nieco więcej niż połowę dostępnych miejsc: jest pięć pań w średnim wieku, dwóch emerytów i ty, sporo młodsza od pozostałych. Po kolei przedstawicie się i mówicie trochę o sobie. Większość pozostałych uczestników brała już wcześniej udział w warsztatach w ramach innych festiwali. Każdy przedstawia swoje oczekiwania wobec zajęć i prowadzącego. Z sali obok, w której młodszy autor, nominowany ostatnio do kilku poważnych nagród, prowadzi wyprzedany do ostatniego miejsca kurs pisania powieści, dochodzą głośnie wybuchy śmiechu. Przyglądasz się, jak wasz pisarz przekłada, a wreszcie odsuwa na bok skserowane materiały, przeczesuje ręką rzednące włosy, odchrząkuje. Jest starszy niż na zdjęciu w festiwalowej broszurze. Gdy podnosi na grupę wzrok, starasz się uśmiechem dodać mu otuchy.

Gdy zadaje pytania, przymuszasz się, by udzielać odpowiedzi, choć nigdy nie należałaś do osób, które wypowiadają się na forum klasy. Zgłaszasz się na ochotnika, gdy trzeba przeczytać na głos opowiadanie, które wam rozdał. Zadajesz nawet pytanie o jego twórczość, by pokazać, że ją znasz. Przed warsztatami poprosił uczestników o przesłanie mailem próbek prac i zadreżczałaś się, nie mogąc podjąć decyzji, czym się zaprezentować:

czy dwoma najlepszymi opowiadaniem, czy może są do siebie zbyt podobne, może powinnaś raczej wykazać się szeroką gamą umiejętności, a może tym, co napisałaś ostatnio, mimo że wciąż sprawia wrażenie niegotowego, na wypadek gdyby mógł posłużyć radą? Organizator festiwalu poradził, żebyś wysłała to, z czego jesteś najbardziej zadowolona, w końcu więc wysłałaś swoje dwa najlepsze opowiadania. Prowadzący jednak nie nawiązuje do otrzymanych tekstów, w żaden sposób nie daje znać, że czytał coś, co napisaliście. Jeden z emerytów pisze wspomnienia. Drugi biografie historyczną. Dwie kobiety nie dostały się na kurs pisania powieści, choć pracują nad powieściami, a pozostałe trzy należą do jednego klubu książki i postanowiły, że z ciekawości spróbują coś napisać. Na podstawie zadanych ćwiczeń, które wszyscy czytacie na głos, wydaje ci się, że nikt w grupie nie jest szczególnie dobry, ale z drugiej strony, trudno powiedzieć – odbierasz to jako strasznie sztuczne, zupełnie bez związku z tym, na czym polega prawdziwe pisanie, choć nie sposób wyjaśnić, na czym ono polega.

Codziennie wysyłasz mamie smsy o tym, co dzieje się na warsztatach, z wykrzyknikami.

Po ostatnich zajęciach idziecie całą grupą do pubu i po kilku kolejkach prowadzący siedzi obok ciebie. Nie mieliśmy okazji omówić twoich tekstów, mówi. Powinniśmy to nadrobić.

Okej, odpowiadasz. Okej. Odsuwasz stojące przed tobą piwo z limonką i sięgasz do torby po notatnik.

On dotyka twojej torby.

Nie tutaj, mówi. Gdzieś, gdzie będzie ciszej. Mam coś jeszcze o piątej, ale może potem, powiedzmy o wpół do siódmej, siódmej?

To ostatni wieczór festiwalu i na uroczystym zamknięciu ma wystąpić pisarz, którego nie chcesz przegapić. Ale tej okazji też nie chcesz przepuścić.

Dziękuję, mówisz, będzie mi bardzo miło. O której ci najbardziej odpowiada, dostosuje się.

Świetnie, odpowiada, może w takim razie kolacja?

Okej, mówisz, Okej. On znów mówi, że świetnie i podaje nazwę lokalu.

Dostałaś od mamy sms z pytaniem, jak minął ostatni dzień. Wiesz, że powinnaś do niej zadzwonić, ale chcesz najpierw poznać zdanie prowadzącego o swoich opowiadaniach. Poza tym wiesz, że mama zapyta o pozostałych uczestników warsztatów, dlaczego ich nie będzie na kolacji. Jeszcze raz przechodzi ci przez myśl pytanie, czy słyszeli, jak pisarz proponuje ci spotkanie i jak to odebrali.

Odpisujesz, że było genialnie, wykrzykniki, i obiecujesz zadzwonić nazajutrz z dworca.

Po powrocie do hotelu przemywasz twarz i rozczesujesz włosy, ale nie przebierasz się, żeby nie wyglądało, że się wystroilaś. Nie nakładasz też makijażu, nawet bronzera – chcesz wyglądać na osobę poważną, intelektualistkę. Potem czytasz opowiadania, które mu wysłałaś, raz i drugi, i kolejny, aż pora wychodzić.

Ty się zjawiasz przed czasem, on się spóźnia. Siedzisz w restauracji na tyle długo, że zaczynasz się zastanawiać, co tam właściwie robisz. Przez szybę widzisz jednego z emerytów z grupy, za rękę z żoną. Zatrzymują się przy drzwiach i studiują menu. Zastanawiasz się, czy wejdą do środka, a jeśli tak, to co powiesz, po chwili jednak ruszają dalej. Przychodzi ci na myśl, że może miałaś się wybrać na dyskusję panelową, w której on występował, a potem mieliście tu przyjść razem i że będzie zirytowany twoją nieobecnością. On jednak zaraz wpada do restauracji, ze sfatygowaną teczką, płócienną torbą festiwalową na ramieniu i książkami pod pachą, tak ewidentnie niezażenowany, że na ten widok trochę się odprężasz. To nowoczesny lokal, jasno oświetlony; są tu nie tylko pary, ale i osoby siedzące w pojedynkę, jeden ze stołów zajmuje grupa przyjaciół. Jest dziewiętnasta – dlaczego miałabyś nie zjeść kolacji? To najzupełniej normalna, praktyczna czynność. Pisarz opowiada o zakończonej przed chwilą dyskusji, o jakiejś osobie z sali, której prawie siłą trzeba było odebrać głos, o moderatorze, który przekręcił tytuł jego drugiej książki. Uśmiechasz się, kiwasz głową. Chyba zapomniał, że nie rozmawia z pisarką, prawdziwą pisarką. Siedzisz sobie w knajpie podczas festiwalu, przy kolacji rozmawiasz z pisarzem o pisaniu, jakby nigdy nic. A więc tak to jest, myślisz, tak to wygląda, to, czego pragniesz od tak dawna, ten świat ukryty dotąd za kurtyną.

Gdy przychodzi kelnerka, zamawiasz risotto, po części dlatego, że to najtańsza pozycja w karcie, ale również dlatego, że krępujesz się jeść przy ludziach, czy przy mężczyznach, trudno powiedzieć; to pozostałość okresu nastoletniego, kiedy nosiłaś aparat na zębach i wyobrażałaś sobie ze zgrozą, że zostaną na nim resztki jedzenia. Risotto można jeść małymi kęsami, nie trzeba nawet przeżuwać. Pisarz zamawia stek, *średnio wysmażony, oczywiście*, i zwraca się do ciebie z pytaniem, czy ma do niego wziąć frytki grubo krojone czy zwykle.

Radzę grubo krojone, mówi kelnerka, są tutaj palce lizać, a skoro powiedziała coś takiego, oczywiście musisz powiedzieć: grubo krojone.

Gdy pyta, czego się napijemy, wskazujesz na stojącą przed tobą szklanę z wodą – to w zupełności wystarczy. On jednak obstaje przy lampce wina, po czym: A, do diaska, weźmiemy całą butelkę, co? Już chcesz odpowiedzieć, ale mimo intonacji nie zabrzmiało to jak pytanie. Zamawia butelkę białego wina, a ty dokonujesz w myślach obliczeń. Nie ma szans, by było cię na to stać, szczególnie że wcześniej zamówił stek. Samo risotto i woda z kranu plus euro napiwku, to mieściło się w twoim budżecie. A gdybyś wypila tylko pół lampki wina i zapłaciła dodatkowo tylko za to, czyli powiedzmy pięć euro, zamiast połowy ceny butelki, która kosztuje dwadzieścia pięć euro? On jednak zdażył już napelnić twój kieliszek i wznosi toast, twoje zdrowie, *sláinte*, i automatycznie upijasz duży łyk. Zwolnij. Najwyżej zapłacisz kartą kredytową mamy, którą nosisz ze sobą na wypadek nieprzewidzianych wydatków, a kiedy mama zapyta, czy twoja karta nie zadziałała czy co się stało, to cośomyślisz.

Usiłujesz skupić się na rozmowie. Zdajesz sobie sprawę, że do tej pory niedużo do niej wniosłaś – dla niego to pewnie żadna przyjemność, musi właściwie samodzielnie wypełniać ciszę. Próbujesz wymyślić jakieś ciekawe pytanie czy zabawną anegdotę, ale masz pustkę w głowie. Nie wiesz, czy wypada zapytać, nad czym teraz pracuje. Przypomina ci się opowieść mamy o tym, jak wybrała się na spotkanie autorskie z pewną uznaną pisarką. Książka bardzo jej się podobała, kupiła nawet egzemplarz dla ciebie i jeszcze obdarowała kilka koleżanek. Gdy przyszła pora na pytania z sali, zapytała

autorkę, czy ma w planach kontynuację. Pisarka, usadowiona na podwyższeniu, w obitym aksamitem fotelu, wydała z siebie teatralne westchnienie i przewróciła oczami. Gdybym dostawała dolara za każdym razem, kiedy słyszę to pytanie, nie musiałabym tutaj siedzieć. Następne pytanie?

Kelnerka przynosi jedzenie, a on jeszcze nie nawiązał do twoich opowiadań. Później o nich coś powie, mówisz sobie, na pewno później o nich coś powie.

Jesz risotto, a gdy on usilnie namawia, żebyś spróbowała i jego dania, nie mówisz, że jesteś wegetarianką, tylko grzecznie nakłuwasz na widelec frytkę i starasz się zignorować smak sosu.

Wino schodzi znacznie szybciej niż powinno. On zamawia jeszcze lampkę czerwonego. Ma zaróżowione policzki.

Kończysz jeść i starannie odkładasz sztucę na talerz. Teraz coś powie, myślisz.

Pisarz odsuwa talerz.

Idę do kibla, mówi.

Pod jego nieobecność kelnerka przychodzi sprzątnąć ze stołu.

Skończyli państwo?

Tak, dziękuję, było przepyszne, mówisz, gdy zabiera twój talerz.

A grube frytki smakowały? Konspiracyjnie zniża głos: smażą je trzy razy, na tym polega sekret. Potem pyta: A tacie zapakować resztę steku na wynos?

Yyyyyy, nie wiesz, co powiedzieć i czujesz, jak policzki ci płoną. Chyba nie, dziękuję.

O co chodziło, chce wiedzieć pisarz, wróciwszy do stołu, zapinając po drodze rozporek.

O nic, odpowiadasz szybko, pytała tylko, czy zapakować resztę na wynos.

I co powiedziałaś? Wygląda na rozbawionego.

Powiedziałam, mówisz, nie odzyskawszy jeszcze równowagi, że nie wiem.

Dlaczego miałbym nie chcieć zabrać reszty na wynos?

Może masz psa, mówisz głupkowato, a on teatralnym gestem podpira się łokciem, przekrzywia głowę i pyta: *Serio?* Czy ja *wyglądam* na kogoś, kto ma psa?

Nie wiem, odpowiadasz, a na to: Powiedz mi w takim razie, gdybym miał psa, jakiej byłby rasy?

Przychodzi ci na myśl jedynie bernardyn, kropelki śliny na mięsistych różowych wargach, które nagle znalazły się tak blisko, ale oczywiście nie możesz tego powiedzieć, więc chłapiasz byle co, milkniesz, uśmiechasz się, uśmiechasz, uśmiechasz, a on kładzie ci łapę na dloni, widzisz czarne włoski na białych palcach, i mówi: Ty byłabyś charcicą, prawda? Jak się nazywają te z długą sierścią, perskie, tak, byłabyś taką charcicą perską. Cała spięta, nerwowa i płochliwa. Wyluzuj, zwyczajnie wrzuć na luz!

Jest to tak okropne, że jakimś cudem działa jak zastrzyk energii i udaje ci się wydusić: Możemy pomówić o moich opowiadaniach?

O twoich opowiadaniach? Powtarza, jakbyś powiedziała coś komicznego. Potem odsuwa się, zabiera rękę, rozsiada wygodnie na krześle. Dobrze. W porządku. Pomówmy o twoich opowiadaniach. Od czego by tu zacząć... Co ty o nich sądzisz?

Ja? Nie wiem. Znaczy... Chciałam się dowiedzieć, co ty sądzisz.

Ale czy uważasz, że są dobre?

Nie wiem, odpowiadasz. Chyba nie, znaczy raczej nie. To tylko wstępne wersje, ale – po prostu nie wiem, co z nimi dalej zrobić, czy –

Czy co?

Czy są na tyle dobre, że, nie wiem, można by je gdzieś wysłać. Czy coś.

Posłuchaj, mówi. Będę z tobą szczerzy. Twoje opowiadania są – jakim słowem by to można najlepiej określić? Płytkie. Są po prostu płytkie. Nie ma w nich głębi, zgadza się?

Yhm... Nie wiem, mówisz.

No widzisz, sama sobie odpowiedziałaś. Gdyby była, tobyś wiedziała.

Okej, mówisz.

Po raz pierwszy podczas całego wieczoru nastaje milczenie. Jest okropne. Czujesz, jak on ci się przygląda, przygląda się, jak próbujesz powstrzymać lzy, jak ci się to mimo starań nie udaje.

Gdy kelnerka podchodzi z kartą deserów, patrzy na ciebie, po czym przenosi wzrok na niego.

Tylko rachunek, mówi pisarz.

Pozwala ci uregulować połowę, właściwie chyba mu to bardzo odpowiada. Cała się trzęsiesz i nie możesz powstrzymać łez, które ciągle płyną ci z oczu. Myślisz w kółko, mama za to zapłaciła. Czujesz się strasznie głupia, żałośnie, koszmarnie głupia.

Przestań, przecież nic takiego się nie stało, odzywa się w końcu on. Nie chciałabyś chyba, żebym cię okłamał, prawda? Nie bierz tego tak do siebie.

Gdy wreszcie wychodzicie z restauracji, proponuje drinka w hotelowym barze. Udaje ci się odmówić – nie zniosłabyś, żeby ktokolwiek, ktokolwiek jeszcze widział cię w takim stanie, ale on twierdzi, że tak czy owak wraca teraz do hotelu, więc jakie masz wyjście? Idziecie razem.

W hotelowym lobby jest mnóstwo ludzi: pisarze, uczestnicy warsztatów, organizatorzy festiwalu wychodzą tłumnie z ostatniej sesji i suną do baru. Nikt cię nie widzi, a może wszyscy widzą, trudno ci to ocenić.

Słuchaj, bierzesz to za bardzo do siebie, mówi znów pisarz i proponuje, że odprowadzi cię do pokoju.

Proszę, odpowiadasz, mając na myśli *proszę, nie, błagam, nie*, wielkim wysiłkiem odwracasz się i ruszasz w stronę schodów, a on nie podąża za tobą.

W kosmetyczce masz kawalek blistra valium, w wersji niemarkowej, przywiezionego z Indii przez chłopaka współlokatorki. Dawka zależy od tego, czy przyjmowało się lek wcześniej czy nie – ty nie przyjmowałaś. Zastanawiasz się, czy dwie tabletki wystarczą.

Wystarczą do czego?

Wystarczą, by po prostu zasnąć, nie musieć już nigdy przechodzić przez coś takiego, nie musieć już nigdy czuć tego dławiącego wstydu.

Nie bądź taką skończoną idiotką.

Bo co się stało, tak naprawdę? Nic. Próbujesz sobie wyobrazić, jakbyś to ujęła w formie opowiadania, jakbyś to opisała. Poszłaś na kolację z kimś, kto uważa, że to, co piszesz, jest niewiele warte.

I co poza tym?

Przelotnie dotknął twojej *dłoni*?

Nic. Nic się nie stało.

Słyszysz z dołu odgłosy dobrej zabawy. Dopiero się rozkręca, myślisz sobie. O tutejszych festiwalowych nocach krążą legendy – bar jest czynny do ostatniego klienta, a ostatni klient często siedzi jeszcze, gdy pierwsi goście schodzą na śniadanie. Na pewno jest tam on, grupa z warsztatów, inni pisarze, inne grupy warsztatowe. Organizatorzy w komplecie, publiczność, wolontariusze. Mogłabyś zadzwonić do mamy, ale oczywiście to nie wchodzi w rachubę. Oddychaj, nakazujesz sobie, po prostu oddychaj. Powietrze w pokoju śmierdzi starym dymem papierosowym, choć wszędzie porozmieszane są naklejki z napisem *Palenie wzbronione*. Dym wżarł się w zasłony, myślisz sobie, w dywan i w poliestrową narzutę, i w uszyty z tego samego materiału lambrekin łózkowy; co to za groteskowe słowo, „lambrekin”. Uchyłasz okno na dwa cale, na jakie maksymalnie można je uchylić i do środka wpada chłodne rześkie powietrze. Gdyby laptop tyle nie kosztował, wyrzuciłabyś go przez okno, utopiła w rzece, która płynie gdzieś w dole. Skąd, nie zrobiłabyś tego; na pewno nie zrobiłabyś czegoś takiego. Z dołu, ze ścieżki nad rzeką, dochodzi zbiorowy śmiech.

Czy wspomniałam, że to prawdziwa historia?

przekład: Agnieszka Pokojńska